



12336/20
Pracownia Śląska

Cena 20 gr.

**JAK MATKA BOSKA CZĘSTOCHOWSKA
TROJE LUDZI DO ŻYCIA WRÓCIŁA
i inne cudy.**

117



Pamiętka z Jasnej Góry.

POLSKIE WYDAWNICTWO LUDOWE.

Częstochowa 1937 r.

SL 13c

286170

I

2-70 / 12386

176 2-26



Jak Matka Boska Częstochowska troje ludzi do życia wróciła i inne cudy.

Co roku, od wielu wielu lat setki tysięcy ludzi wędruje do Częstochowy — na Jasną Górę. Od wieków czy to w dniach nieszczęść Ojczyzny, czy w dniach Jej potęgi i chwały tłumy ludu szukają tu pokrzepienia serc, błagają o pomoc albo korne składają dzięki, za uzyskane łaski.

Z którejkolwiek nie szedłbyś tu strony — już zdala ukazuje ci się, pobożny pątniku, wyniosła strzelista wieża Jasnogórskiego klasztoru. I każdy wita ją z jednakim uczuciem: że oto po dniach trudnej i ciężkiej wędrówki widzi już jej cel i kres, że oto dochodzi tu — dokąd dojść pragnął. I witając Jasnogórską wieżę, jako widomy znak końca swej podróży, dziękuje jednocześnie Bogu i tej, do której dążył — Paniencie Najświętszej — za to, że dojść mu pozwolili dotąd, wspierając go Swą łaską i pomocą.

Wczystym, niebieskim, jak płaszcz Bogarodzicy, niebie, lekko i wdzięcznie rysują się kształty wieży Jasnogórskiego klasztoru — przybytku, który szczególnie sobie Najśw. Maria Panna upodobała, z którego od kilku wieków na całą krainę polską spływają Jej szczególne łaski.

W skarbcu klasztornym są różne drogie przedmioty — składane tutaj przez królów i książąt i przez zwykłych ludzi, przez bogatych i ubogich, którzy dostąpili łaski Matki Boskiej, lub o nią

prosil. Ale najdroższym skarbem, klejnotem bez ceny jest Cudowny Obraz Najświętszej Marii Panny. To jest największy skarb i świętość klasztoru Jasnogórskiego, skarb, którego od kilku wieków strzegą pilnie czcigodni Ojcowie Paulini.

W książeczce niniejszej opowiemy kilka cudów, zdziałanych za przyczyną Matki Bożej, która klasztor Jasnogórski wybrała na pomieszczenie Swojego Cudownego Wizerunku.

* * *

Dawno już, bo w roku 1540 w Lublińcu, mieście, leżącym na Śląsku, 5 mil od Jasnej Góry oddległym, żył rzeźnik imieniem Marcin Lanio.

Człowiek to był pobożny i prawy, to też Pan Bóg mu błogosławił. Wiodło mu się nie najgorzej i żył sobie spokojnie z żoną Małgorzatą i dwójgiem dzieci czteroletnim Piotrem i dwuletnim Kazimierzem.

Ojciec niezmiernie dzieci kochał i dla nich to starał się, aby niczego nie brakło. Zabiegał, jak mógł, a że, jak powiedzieliśmy, i Bóg mu błogosławił — dom rzeźnika był obrazem cichego, spokojnego życia.

Pewnego dnia Marcin Lanio wybrał się na okoliczne wsie po zakupy, zabierając ze sobą czeladź do pomocy. Wyszli wczesnie rano, obiecując się przyjść na obiad. W domu została tylko żona Marcina i dwoje dzieci. Małgorzata krzątała się po izbie, czyniąc zwykłe porządki, do gospodyni należące.

A miała tej krzątany dzisiaj sporo, bo chleba właśnie zabrakło i trzeba go było upiec zanim mąż z czeladzią wróci do domu.

Uspiała więc młodszego synka i złożyła go w

kolebce, aby jej nie przeszkadzał, a sama przyniosła drew i ułożyła je w piecu, aby były gotowe do podpalenia. Przygotowawszy wszystko, wyszła Małgorzata do sąsiadki, aby przynieść kwasu do chleba. W domu pozostał czteroletni Piotr który bawił się grzecznie w kąciu i dwuletni Kaziu, śpiący w kołysce.

Zaledwie matka wyszła, gdy Piotruś widząc, że jest sam, chwycił wielki nóż rzeźnicki ojca i jął go ostrzyć, co widział nieraz jak ojciec czynił. Naostrzywszy nóż począł rozglądać się po mieszkaniu. Zobaczył śpiącego braciszka w kołysce.

— Czekaj, ja cię zarżnę — powiedział półgłosem. — Ja cię zarżnę, tak jak tatuś. — Bo Piotruś widział niejednokrotnie, jak ojciec jego zabija nierogaciznę, i teraz zapragnął sam zabawić się w rzeźnika.

Podszedł do chłopca i dopiero co naostrzony nóż podniósł nad główką śpiącego braciszka.

— Zarżnę cię, ale się nie bój. Ja się tak bawię.

Mały Kaziu nie przeczuwał co go czeka. Zaróżowiony na buzi oddychał równo i spokojnie i uśmiechał się przez sen.

Tymczasem Piotruś odchylił kołderkę i ostry, ciężki nóż opuścił na gardło braciszka — przeciągnął i z rozciętej okropnie szyjki dziecka bluznęła struga krwi.

Teraz dopiero, na widok krwi i przedśmiertnych konwulsji małego braciszka, Piotruś przeląkł się tego co uczynił.

Rzucił nóż i w napadzie przerażenia schował się do pieca, w którym matka ułożyła gotowe do podpalenia drzewo. Ukrył się za drzewem i nieprzytomny ze strachu, siedział cicho nasłuchując kiedy matka przyjdzie.

Małgorzata tymczasem zagadawszy się z sąsiadką, siedziała u niej dobrą chwilę nim przypomniała sobie o chlebie. Wzięła więc kwas i spiesząc się, przybiegła do domu.

Postawiła kwas, a sama skrzesła ognia i zapaliła drzewo, ułożone w piecu. Nie domyślała się nieszczęsna matka, że za drzewem ukryty był jej starszy syn.

Piotruś bojąc się kary siedział cichutko choć dym szczypał go w oczy i drażnił krtań. Wreszcie, nie mogąc wytrzymać, zakasłał głośno, a potem rozplakał się. Zdziwiona Małgorzata rozgląda się po izbie — skądby ten płacz dochodził? ale nie widząc nigdzie dziecka, zabrała się znowu do pracy przy chlebie.

Ale dziecko, napół już dymem uduszone, kiedy je wreszcie i ogień począł parzyć, zaczęło jęczeć okropnie i rzucać się nieprzytomnie. Teraz dopiero nieszczęśliwa matka zorientowała się skąd jakiś dziecka słyhać.

Lecz zanim drzewo, palące się, wyrzuciła z pieca, zanim Piotrusia wyciągnęła — dziecko już nie żyło. Dym i ogień zadusił je.

— Piotruś, dziecinko! — wołała nieszczęsna matka. — Boże, co ja zrobiłam! co ja zrobiłam!

Wołała najczulszymi słowami, błagała... Lecz wszystko na próżno. Dziecko nie dawało znaku życia.

— Co ja zrobiłam, nieszczęśliwa! Piotruś, Piotruś! — Napróżno, żadne błagania nie wrócić zmarłego do życia.

Złożyła martwe zwłoki na łóżku i, pełna rozpacz, zwróciła się do tego jedyne dziecko, które, jak sądziła, jeszcze jej pozostało. Lecz gdy podeszła do kołyski i tu okropny, wstrząsający widok uderzył jej oczy. Na zakrwawionej pościeli

leżał jej drugi synek ze strasznie podciętym gardłem. Leżał martwy w kałuży krwi, wysączonej na poduszkę i białą kołderkę.

— Boże! Boże! — zajęczała i osunęła się na ziemię.

Nerwy nieszczęśliwej matki nie wytrzymały tych dwóch okropnych ciosów. Leżała na podłodze jak martwa, nieruchoma, niby i tamte dwa małe trupki. Jęczała tylko cicho i nieprzytomnymi oczami wodziła od kołyski do łóżka.

Drzewo wyrzucone z pieca tliło się wolno i dym siwymi smugami rozwłóczył się po izbie.

W małym mieszkanku Marcina Lanio cicho było zupełnie, niby w domu śmierci. A na dworze weseliło się wszystko w pełni wiosny.

Małgorzata powstała nagle i popatrzywszy na trupy dzieci, zaniósła się gwałtownym, niepowstrzymanym śmiechem.

Biedne, udręczone nad miarę serce matki nie zniosło nieszczęścia. Małgorzata Lanio oszalała... Chwyciła zimne już ciało młodszego synka i jęła z nim tańczyć jakiś dziki taniec.

Rzeźnik, Marcin Lanio wracał do domu.

Pospieszać kazał czeladzi, chcąc jaknajprędzej znaleźć się w domu. I czeladnicy pospieszali, bo pora posiłku się zbliżała. Wracali wesoło gdyż kupno udało im się nadspodziewanie dobrze.

Miasto z daleka już było widać.

Marcin Lanio pełen najlepszych myśli podchodził ku swojemu domowi. Lecz tu czekała go okropna niespodzianka. Zdziwiła go przede wszystkim cisza, panująca w obejściu. Zwykle żona i dzieci gwarem napępniały skromną chatę a serce ojca weselem

i zadowoleniem. Dzisiaj złowroga cisza powitała Marcina, wszczepiając mu w duszę jakieś złe przeczucia.

Wszedł szybko do izby — lecz tu jakże straszliwy widok przedstawił się jego oczom.

Dwóch synków zabitych i żona w kącie śmiejąca się jakimś złym, przyciszonym śmiechem. Marcin Lanio osłupiał. Stał chwilę, niedowierzając własnym oczom.

— I ty, ty śmiejesz się jeszcze — zawołał Marcin do żony. Nie wiedząc sam co czyni, porwał w rękę duże polano drzewa, leżące pod piecem i przyskoczył do żony, uderzając ją kilkakrotnie,

Małgorzata osunęła się bezwładnie do stóp rozniewanego męża. Już nie śmiała się. Dusza biednej matki połączyła się w raju z duszyczkami zmarłych dzieci. Marcin Lanio zabił żonę.

Tak szczęśliwy dzień z rana zmienił się nad wieczorem w ponury dzień śmierci, Smutek roztoczył nad domkiem rzeźnika swoje czarne skrzydła.

Marcin po dokonaniu okropnego czynu dopiero zrozumiał co uczynił. Wybiegł przed dom i zaczął wielkim głosem wzywać pomocy sąsiadów. Ci zbiegli się gromadnie, jeden przez drugiego pragnąc nieść pomoc nieszczęśliwym ofiarom.

Ratunek bezskutecznym się okazał. W domu, w którym rano jeszcze panował gwar wesoły — teraz cisza śmiertelna i smutek zapanowały.

Przed domem Marcina Lanio gromadziły się tłumy ludzi żywo i ze współczuciem omawiając tragiczne wypadki. Zrozpaczony ojciec siedział ponury, nie wiedząc co czynić. Sąsiadki i kumy, które, jak to zwykle bywa, radziły jak umiały i mogły — od stały wreszcie od łoża zamordowanej Małgorzaty i kołem otoczyły rzeźnika.

— Co ja zrobiłem, o mój Boże kochany — po-

wtarzał Marcin gorączkowym szeptem. — Co ja zrobiłem, nieszczęsny! Już nie ma ratunku dla mnie. — Wybuchnął płaczem serdecznym.

Dopiero jedna z sąsiadek odezwała się, widząc rozpacz nieszczęśliwego ojca — w te słowa.

— Cóż, mój sąsiedzie. Nie ma dla was ratunku od ludzi — to prawda, ale nie zapominajcie, że Bóg jest, który z waszego strapienia mocen jest wydzwignąć was. Jemu się polećcie i Jego Matce Najświętszej. Przecież Częstochowa nie daleko jest od nas — tam jedźcie przed Cudownym Wizerunkiem Matki Boskiej błagajcie o pomoc i ratunek Matka Boska nikomu nie odmówi, kto szczerze i ufnie Jej prosi. I wam nie odmówi jeżeli jeszcze błagać Ją będziecie przed Cudownym Obrazem, rękami św. Łukasza uczynionym.

Gdy to powiedziała, obruszyli się niektórzy, mówiąc, że takiego cudu nie można od Boga wymagać, gdyż by to grzech już był taką śmiałość w miłosierdziu Bożem pokładać

Lecz Marcin Lanio posłuchał rady sąsiadki.

I oto w pierwszy czwartek po Zielonych Świątkach po południu zbliżał się już do Częstochowy, wioząc na wozie zwłoki dwóch synków i żony.

Ludzie pracujący w polu zbiegali na drogę, przyglądając się osobliwemu ładunkowi wozu. Wyśmiewali się niektórzy z Marcina, mówiąc, że napróżno tę podróż odprawia, bo aż trojga umarłych na żadne prośby ani Bóg ani Matka Boska do życia mu nie wróci.

Rzeźnik nie odpowiadał na te zaczepki. Szedł z odkrytą głową obok wozu na którym wioził tych którzy mu wszystkim na świecie byli od niedawna i modlił się żarliwie.

Na Jasnej Górze ludu jeszcze sporo zgromadzonego było po Zielonych Świątkach. Akurat nieszpory odprawiał błogosławiony ksiądz Stanisław

Oporowski, niegdyś profesor Akademii Krakowskiej, a później zakonnik klasztoru Jasnogórskiego.

Marcin Lanio przy pomocy dobrych ludzi zniósł z wozu zwłoki żony i dzieci i w trzech trumnach przed ołtarzem Bogarodzicy ustawił, a sam przed progiem kaplicy leżąc, bo nie czuł się godny wejść do wnętrza Przybytku Matki Najświętszej, modlił się o miłosierdzie nad nieżyjącymi.

Ganili jedni z obcych taką śmiałość, drudzy widząc prawdziwą rozpacz nieszczęśliwego ojca i męża, łączyli z nim swe prośby i modlitwy.

Bóg i Matka Boża nie opuszczają tych, którzy do nich ufnie o pomoc się zwracają.

I oto gdy w czasie Magnificat śpiewano słowa: *Albowiem uczynił mi wielkie rzeczy, który możny jest i święte Imię Jego*

umarli owi powstałi z trumien, jakby ze snu przebudzeni.

Stało się to w oczach ludzi, napęlniających kaplicę, którzy nie mogąc się powstrzymać od podziwienia, głośno poczęli wielbić Boga i Najświętszą Maryję Pannę. Płacz wielki powstał w świątyni i radość z tak widomego cudu i miłosierdzia Bożego.

Cud ten przedstawiony został na obrazie, który do dnia dzisiejszego znajduje się w chórze zakonnym na Jasnej Górze.

Sława tego cudu rozeszła się po całym świecie, a cesarz niemiecki kopię Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej sprowadził do Wiednia.

* * *

W roku 1598 w Zborowie kilku chłopców zebrało się w polu i tam uradzili między sobą zabawić się w sąd. Podzielili sobie role i tak: jeden został był sędzią, drugi obrońcą, trzeci woźnym, czwarty oskarżycielem, piąty wreszcie za kata.

Wówczas, kiedy już cały skład sądu był ułożony, przyprowadzono przed jego oblicze winowajcę, syna rządcy ze Zborowa, Żeromskiego. On to miał być złodziejem, którego sąd będzie sądził.

Oskarżyciel wygłosił przemówienie, żądając na tak srogiego przestępcę kary śmierci. A że obrońca nie bardzo umiał bronić swojego klienta, — sąd po krótkim namyśle skazał go na śmierć przez powieszenie.

Wykonanie wyroku zadeklarowano wykonać natychmiast.

Jakoż wzięto biedaka i doprowadzono do pobliskiego drzewa i kat się wziął do swej pracy.

Skazanemu założył stryczek na szyję i w obecności wszystkich powiesił go. Śmierć nastąpiła od razu, sprawcy jej widząc towarzysza swego bez życia, zatrwożyli się i uciekli, nikomu ze starszych o tym nie wspominając.

Gdy już noc się zbliżyła, rodzice Walentego nie widząc go nigdzie rozkazali go szukać i wołać.

Lecz próżne nawoływania. Mały Waluś nie odzywał się.

Dopiero w polu za ogrodem znaleziono martwe ciało ofiary nieszczęsnej zabawy. Rodzice nieszczęśliwego dziecka rychło przekonali się, że wszelki ratunek spóźniony jest i daremne ludzkie wysiłki, bo umarłego do życia już nie wróca. Ojciec pogrążył się głuchej rozpacz, lecz serce matki pogodzić się z tym nie mogło, żeby ten, któremu życie dała, tak marnie zeszedł ze świata w zaraniu życia.

Do kogóż miała iść strapiona matka po ratunek dla swego dziecka, jeżeli nie do tej, Której dziećmi są wszyscy ludzie na ziemi, do Tej, która jest Matką Boga?

Modląc się gorąco i z wiarą ufną, poleca swe dziecko Matce Boskiej Częstochowskiej, błaga aby Matka Boża wstawiennictwem Swym wyjednała u Boga łaskę powrotu do życia dla jej syna. Ojciec, wiarą swej żony pokrzepiony, dołącza się do jej modłów, obiecując że jeżeli Matka Boska życie synowi przywróci, stawia się z nim na Jasnej Górze, aby za tę łaskę korne dzięki złożyć.

Bóg za wstawiennictwem Najświętszej Marii Panny, wysłuchał pokornych ich prośb i przywrócił życie małemu Walusiowi.

Dzięki składając za tę łaskę, stawili się Żeromscy na Jasnej Górze i zeznanie o tym cudzie złożyli, które wpisane zostało do księgi cudów i ich podpisami potwierdzone.

* *

A oto jeszcze jeden cud^{*} z ogromnej liczby innych podajemy:

Kazimierz Kozłowski, żołnierz załogi klasztornej na Jasnej Górze podczas kłótni zabił swego sierżanta Jakóba Komorowskiego. Natychmiast Kozłowskiego aresztowano i niezadługo sąd wojenny się zebrał aby winowajcę rozsądzić. A wiadomo, że prawa sądu wojennego są surowe.

Za biednym żołnierzem, Kazimierzem Kozłowskim wstawił się książę Stanisław Szembek, Arcybiskup Gnieźnieński, Prymas Polski, wstawiali się obecni na Jasnej Górze Prałaci i O.O. Paulini, lecz te wstawiennictwa nie pomogły. Sąd wojenny był nieubłagany.

Zabójca sierżanta, Kazimierz Kozłowski został skazany na śmierć przez rostrzelanie.

Takiego srogiego wyroku nie spodziewał się biedny winowajca. Wszystkim przecież wiadomo było, że zabity sierżant Komorowski sam wywołał sprzeczkę, czym przyczynił się do swej śmierci. Kozłowski był gniewem uniesiony i to była okoliczność łagodząca, lecz sąd wojenny wychodził z założenia, że kara, a zwłaszcza za zabójstwo musi być surowa.

Do celi skazańca poszedł ksiądz, aby go przed

śmiercią Sakramentami świętymi opatrzyć. Kozłowski wypowiadał się przykładnie i pobożnie Sakramenty święte przyjął. Błagał jeszcze spowiednika swego, aby wstawić się za nim zechciał.

Lecz i wstawiennictwo spowiednika nie pomogło nic.

I w dniu 10 października 1710 roku wyprowadzono na plac przedklasztorny dla wykonania wyroku.

Ludzi na placu zebrało się wiele, bo sprawa głośna była i wielu chciało skazańca i egzekucję ujrzeć. Na placu już żołnierze czekali z bronią u nogi i oficer nimi komenderujący.

Skazanego podprowadzono do miejsca stracenia i ksiądz spowiednik zbliżył się do niego dla udzielenia ostatniej pociechy. Kozłowski ucałował pobożnie krzyż, a kiedy ksiądz odstąpił, skazany widząc, że od ludzi, żadnego ratunku nie może się już spodziewać, padł na kolana i wielkim głosem zawołał wobec zgromadzonego ludu:

O Panno Najświętsza, Matko Miłosierdzia, przez dziewięć lat służyłem Ci wiernie na tym miejscu, gdy oto ten wypadek, który stał się pomimo mej chęci, jak Tobie, o Pani wiadomo, pozbawia mnie życia. Ocal mnie o Matko Najświętsza i okaż miłosierdzie nędznemu człowiekowi, za co Ci o Pani i Opiekunko moja wiernie przez całe życie służyć przyrzekam.

Lud zgromadzony dokoła wzruszył się tą ostatnią modlitwą skazańca, a niektórzy wołać poczęli:

— Łaski! łaski!

Lecz oficerowie, choć także wzruszeni głęboko, głusi pozostali na te wołania. Nie do nich należało ulaskawienie — oni wykonać musieli to, co im polecono.

Sprawdzili więc ładunki i rozdali żołnierzom, których było sześciu. Strzelać żołnierze mieli parami — po dwóch.

Oficer, dowodzący egzekucją zakomenderował i dwóch pierwszych żołnierzy wystąpiło naprzód, podnosząc broń do oka.

— Pal!

Dwa huki przeraziły obecnych. Skazany Kozłowski padł na ziemię. Sprawiedliwości stało się zadość. Winowajca poniósł karę na jaką został skazany.

Tak osądzili obecni.

Lecz jakież było zdumienie gdy mniemany zabity podnosić począł się z ziemi.

Oficer dowodzący rozkazał dwom następnym żołnierzom zbliżyć się o połowę drogi do skazanego i znów zakomenderował:

— Ognia!

Znowu dwa wystrzały rozdarły powietrze i skazany Kozłowski powtórnie upadł na ziemię, lecz i tym razem dał znak życia. Niepojęte wydało się to wszystkim obecnym, a oficer rozkazał dwom pozostałym żołnierzom aby tuż do skazanego podeszli i dwoma wystrzałami w głowę skrócili męki ciężko zapewne poranionego. Żołnierze wykonali rozkaz, strzelając tuż przy samej głowie Kozłowskiego.

Lecz i tym razem skazany nie odniósł żadnego szwanku. Z przelęknienia wielkiego czuł się osłabiony tylko okropnie, a obok niego na ziemi sześć kul leżało.

Zebrani na placu stracenia ludzie jęli wołać:

— Cud! Łaski dla Kozłowskiego!

Oficer kazał żołnierzom, odprowadzić skazanego do jego celi, a sam udał się zawiadomić władze swoje o tak niezwykłym wypadku. Nie było żadnych wątpliwości, że to cud, bo jakże inaczej wytłumaczyć to iście cudowne zdarzenie?

Dowiedziawszy się o tym wypadku książę Prymas polecił przeprowadzić najsurowsze śledztwo.

Od oficerów i żołnierzy, odkomenderowanych do wykonania egzekucji, odebrano uroczystą przysięgę, że broń została kulami nabita i wystrzelona, przyczym ostatnie dwa strzały oddane były z bezpośredniej bliskości wprost w głowę skazanego na rozstrzelanie.

Gdy przystąpiono do cudownie ocalonego,

znaleziono nadspodziewanie znaki kul wystrzelonych na koszuli i ciele jego. Sam Kozłowski twierdził stanowczo, że tylko stawiennictwu Najświętszej Marii Panny zawdzięcza życie.

Wyrok, ciążyący na Kozłowskim, zdjęto, a orzeczono, że Kazimierz Kozłowski, żołnierz klasztornej załogi, wskutek swego szczególnego nabożeństwa ku Najświętszej Marji Pannie, cudem przez Nią od kary śmierci wybawiony został.

Zdarzenie to zapisano do klasztornej księgi Cudów, a na pamiątkę tego wypadku książę Prymas tablicę złotą, sto dukatów wążącą na ołtarzu w kaplicy Matki Boskiej zawiesił.

* *

W tejże książce cudów czytamy o innym, nie mniej cudownym wypadku, zanotowanym w roku 1720, w krótkości z zeznań księdza prałata Pruszyńskiego i przysięgą tegoż stwierdzony.

Podajemy w dosłownym prawie brzmieniu, jak zapisany został w księdze cudów:

„Bogu najdobrotliwyszemu, najwyższemu, jak również Boga Rodzicy Maryi cudotwórnej, żywych i umarłych Matce i Opiekunce cześć.”

Ja, ksiądz Michał Pruszyński, kanonik kijowski, pleban topczewski, diecezji Łuckiej, województwa podlaskiego, zeznamę i świadczę i przysięgam na krucyfiks Zbawiciela mego, z dotknięciem palcy, jak wielkie rzeczy ze mną się stały.

Przed teraźniejszym, 1720 rokiem, przez dwa lata blisko chorowałem ciężko po całym ciele tak, że władzy pozbawionego, przewracać mnie na łóżku musiano, Nadto, puchliną aż do wewnątrz nawiedzony byłem, zaniewidziałem i ogłuchłem, przy rozumie jednak, pamięci i mowie zostając.

Za wczasu tedy, przed pół rokiem, trumnę gotową miałem i sposobiłem się do śmierci. Nakoniec, mając się gorzej, dysponowany na śmierć i opatrzony Sakramentami świętymi w obecności księży: Piotra Markowskiego, Piotra Brzezowskiego

z Wyszkowy i Jakuba Ruszowskiego z Piętkowic — plebanów i egzekutorów mojego testamentu — skonałem dnia 8 stycznia 1720 roku.

I tak obleczonemu tymczasem w albę kapłańską, włożono mnie w trumnę, wierzchem zamknięto i do komory bez okien na mróz ciężki wyniesiono. Tam od godziny szóstej z rana aż do czwartej wieczorem leżałem umarły.

Dziwna i niepojęta rzecz!

Pokazał mi się w tedy sędziwy starzec, włosów i brody siwej, w habicie i płaszczu białym, który, wzięwszy mnie za prawą rękę tak, żem we wszystkich kościach i stawach boleści uczuł, rzekł do mnie te słowa:

— Idź, uczcij obraz błogosławionej Maryi Panny na Jasnej Górze, a żyć będziesz!

Wierzę, że to był Święty Paweł, pierwszy pustelnik, jako Ojciec i Patriarcha zakonu Jasno-górskich Ojców, którego święto dziewiątego stycznia następowało.

Tak tedy w trumnie ożywszy, wzywałem:

— Jezus, Maryja Najświętsza, Panno Częstochowska!

Przy trumnie mojej modlili się w ten czas ubodzy, z mojej parafii. Gdy mój głos z trumny usłyszeli, uciekli, dając znać domowym moim, którzy po tym, wróciwszy się, odbili trumnę, podnieśli mnie i do ciepłej izby zaprowadzili.

* * *

Przeczytałeś do końca niniejszą książeczkę, pobożny czytelniku. Widzisz z niej, że nie ma nic niemożliwego — dla Boga i świętej Jego Rodzicielki. Jeżeli prosimy i błagamy szczerze, Matka Boża nie odmówi nam Swej pomocy nigdy — bo jakże dobra matka mogłaby odmówić kochającemu ją dziecku?

Na cześć Najświętszej Maryji Panny Częstochowskiej zmówmy pobożnie **Zdrowaś Maryja.**





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000417340



I 386170